Ner 20. Kraków, 21go Maja. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Prosimy usilnie o spieszne nadesłanie zaległości za kwartał od 1go Kwietnia do 1go Lipca b. r.

Redakcya.

Niesprawiedliwość.

W prowadzeniu i wychowaniu dzieci, rodzice, nauczyciele i przełożeni szczególniej powinni się chronić stronniczości i niesprawiedliwości.

Częstokroć nie zważają na to, i nie zastanawiają się nad tem, jak wielce drobne na pozór niesprawiedliwości psują charakter dzieci, i spychają je z drogi sumienności i cnoty, na bezdroża wszelakiej przewrotności.

Rozwijać sumienność w usposobieniach dziatek, jest jedną z najistotniejszych zasad wychowania, a przeto im trzeba przedewszystkiem własnem postępowaniem wzorować sumiennością, a pierwszym i koniecznym sumienności wynikiem jest sprawiedliwość i bezstronność.

Im delikatniejszego sumienia są dziatki, tem drażliwsze są na wszelką niesprawiedliwość.

I nie mniemajmy, że to zaraz jest samolubstwem lub obrażoną pychą, jeżeli dziecię oburza się na niesprawiedliwość. O nie! częstokroć jest to raczej szlachetny pojaw głęboko dotkniętego sumienia.

Dziecię póty widzi w rodzicu, nauczycielu, lub przełożonym swoim, wzór doskonałości i cnoty, póki mu ci, niestety! niewpoją przeciwnego o sobie zdania. A najłatwiej uczynią to przez stronniczość i niesprawiedliwość, czy to względem niego samego, czy to względem drugich otaczających go osób.

Niesprawiedliwość głęboko oburza szlachetny i sumienny dziecka charakter. Z początku szczerze i otwarcie żali się na to, bądź przed tymi samymi, którzy mu rzeczywistą lub mniemaną wyrządzili krzywdę, bądź przed tymi, do których ma zupełne i nieograniczone zaufanie. Takiego użalenia nigdy nie trzeba dziecku brać za złe, a tem mniej karcić je lub karać, lub mu za to dokuczać, i przy innej sposobności mu to wymawiać, lub w ogóle despotycznie dać mu uczuć, iż mam władzę nad tobą, i wolno mi jej używać, jak mi się podoba. Takie postępowanie jest oczywistem zgorszeniem dziecka, i zabiciem jego charakteru.

Dziecię natenczas traci zaufanie ku przewodnikom swoim. Przestaje wierzyć w szczerość ich nauk i napomnień. Niknie w niem otwartość, a natomiast staje się skrytem, ponurem i mrukliwem. Chytrość owłada jego umysł, poczyna kłamać przy każdej sposobności, bo oszukać krzywdzicieli swoich, zwieść tych, którzy niesprawiedliwie sobie z niem poczynają, nietylko niepoczytuje sobie za występek, ale zdawać mu się nawet może, że to jest rodzaj cnoty, potrzebny dla ochronienia się od wielorakich przeciwności.

Jaki wpływ takie usposobienie duszy na całą przyszłość wychowańca wywierać może, łatwo zrozumiemy.

Stronniczość, niesprawiedliwość, niemoże nieobudzać między dziatkami zawiści, zazdrości, a ztąd zemsty i skrytych pomysłów szkodzenia.

Mama zawsze chwaliła piękne włosy Michasia, to biednego Jasia niezmiernie bolało, bo cóż on temu winien, że jego włosy niepodobają się mamie? Jednego wieczora mama uwinęła włosy Michasia w loczki, związała je w papiloty, i cieszyła się na to, jak Michasia jutro loczkami ozdobnego poprowadzi do kościoła. Jasiowi to szczęście nie dostało się w udziale. O ile Michaś z tego był próżny i dumnie na Jasia spoglądał, o tyle Jaś był upokorzony i zazdrosny. Pomysły chytrej, skrytej zemsty obudziły się w duszy Jasia. Szukał nożyczek, a znalazłszy je ukrył w zakątku. W nocy śród pełni księżyca, widnej prawie jak w dzień, gdy wszyscy spali, Jaś czuwał, bo go cuciło pragnienie wykonania swej zemsty. Przyszła nareszcie utęskniona chwila, Jaś zrywa się, idzie cichutko po ukryte nożyczki, a wziąwszy je, śpiącemu Michasiowi obcina loczki z papilotami. Poczem swobodnie zasypia. Łatwo możemy sobie wyobrazić, co się na drugi dzień działo. Mały zbrodniarzyk łatwo do zeznania zniewolony, a mama przerażona okropnością postępku Jasia, niewiedziała już jak srogą wymierzyć nań karę. Szczęściem że ojciec roztropniej rzecz tę pojmował, a znaczną część winy przypisawszy nierozsądkowi żony, ułagodził ile możności tę sprawę.

Tak to stronniczość starszych skrzywia charaktery dziatek, i szkodliwy na całe ich życie i usposobienie wpływ wywiera.

Lecz może kto powiedzieć: Trzeba dzieci czasami przyzwyczajać i do znoszenia niesprawiedliwości. Są bowiem stósunki, położenia i okoliczności, w których cierpliwe znoszenie niesprawiedliwości niezbędnym jest warunkiem jakiejkolwiek doczesnej spokojności życia i mienia. Daremnie żądać sprawiedliwości od zepsutego świata! A nieokupisz inaczej pokoju dla siebie, jak tylko odwróceniem swej uwagi od mnogich niesprawiedliwości, które cię otaczają, i udawaniem że to cię wcale nieobchodzi, lub że pojmujesz, iż tak być powinno, iż inaczej nawet być niemoże. Smutna taka filozofia, niemoże żadnej uprawniać niesprawiedliwości. Nie potrzeba jej więc dzieciom zadawać, aby ich tym sposobem do niej przyzwyczajać. Pokażcie im najświętszego Zba-

wiciela na krzyżu, a zrozumieją łacno grzeszność i niesprawiedliwość zepsutego świata. Powiedzcie im, że niesprawiedliwość, która umęczyła najniewinniejszego, wręcz sprzeciwia się sumieniowi chrześcianina, i że Chrystus każe nam szukać królestwa Bożego i *sprawiedliwości* jego. Że więc nam chrześcianom należy unikać niesprawiedliwości i krzywdy bliźniego, jak winniśmy unikać odstępstwa od religii Chrystusa, i od kościoła jego, gdyż pismo święte pobożnego i uczciwego człowieka *sprawiedliwym* nazywa, a Boga nam przedstawia, jako najsprawiedliwszego sędziego.

X. W. Serwatowski.

Różne stopnie poświęcenia,

przez

Karola Dra Libelta,

Autora „Dziewicy Orleańskiej" i wielu innych znakomitych dzieł.

(Ciąg dalszy).

II.

Przechodzimy do istotnego poświęcenia, jakie się w zaimkowem znaczeniu wyrazu tego mieści. Poświęcić się, znaczy całego siebie, całą istotę ducha swojego, oddać, niejako na całopalną ofiarę złożyć. Już z samego tego znaczenia daje się wyprowadzić wniosek, że takie całopalenie jednemu Bogu się należy, a w następstwie wszystkim tym sprawom i ustawom, które są z Boga, i w których prześwietlają rządy Jego mądrości, sprawiedliwości i opatrzności. Ktoby innym, ludzkim, ziemskim i materyalnym, nie wiecznym ale przemiennym interesom oddał siebie całego na ofiarę, poświęciłby się złudzeniu i grzechowi, i stracił duszę swoją.

Ogólnem znamieniem tego wszystkiego, co z Boga pochodzi, i co we wnętrzu ducha świeci światłem boskiem, jest *prawda*. Bóg jeden tylko jest prawdą bezwzględną; objawy tej prawdy wśród ludzi są i muszą być względne, to jest cząstkowe, niezupełne niejako rudy kruszcowe, w których własności czystego kształtu nie dopatrzysz, a jednak w nich jest objęty i wyrobem czasu jak z ognia oczyszczającego z nich się wylewa. Gdyby człowiek mógł być prawdą bezwzględną, byłby jako Bóg wszystko wiedzący i wszystko przenikający. Zaś jako człowiek jest w posiadaniu okruszyny tej prawdy, a jej światło promienne świeci w nim *przekonaniem* lub *wiarą*. Jedno lub drugie jest dla człowieka jedyną gwiazdą przewodną w drodze jego żywota, jedyną cechą, po której poznaje prawdę, jedynym bodźcem, aby tej prawdzie na drodze wiary lub przekonania uznanej, poświęcił całego siebie.

Nic temu nie przeszkadza, jeżeli nam kto zarzuci, że tak przekonanie jak wiara mogą być fałszywe, na niewiadomości, na złudzeniu, na przesądach i tylolicznych wpływach mącących prawdę oparte, a więc i poświęcenie za taką prawdę przynajmniej niewczesne. Nic słuszniejszego nad to. Cała przeszłość i teraźniejszość nas tego poucza, a i przyszłość cała jeszcze pouczać będzie, że się przekonania i wiary zmieniają. Ale z tego nie wypada, aby się i prawda zmieniała, tylko formy jej zmieniają się, i to właśnie jej względność stanowi. Dla tej względności w każdej prawdzie albo raczej w każdym objawie prawdy, a ztąd i w przekonaniu o niej nabytem, jest błąd pewien, bo jest niedostateczność, niezupełność, jest domieszanie wszystkiego tego, co tam czasowe stosunki i wyobrażenia naniosły, co niewiadomość tego co nastąpi zakryła, a co dopiero przyszłe wieki, przyszłe objawienia, albo już odsłoniły, albo dopiero odsłonią. Podobnie w każdym błędzie, przesądzie, nie ma bezwzględności, ale i tam mieści się iskierka prawdy, która dla nowszych i lepszych przekonań prawie jest niedojrzaną, lecz dla tych, co ten błąd dzielili i dzielą jest dostatecznem ducha ich światłem.

Trojaki jest stósunek, w którym Stwórca każdego ducha stworzonego postawił: stósunek jego do Boga, i tu prawdą jest dla niego *wiara*, której zewnętrznym objawem jest religia, jako tego stósunku spójnia; — stósunek jego do ludzi, i tu prawdą dla niego jest *prawo*, którego zewnętrznym objawem jest państwo, jako spójnia społeczna, — stósunek jego wreszcie do świata tak fizycznego jak społecznego, gdzie prawdą dla niego jest *nauka*, przedstawiająca się zewnętrznie jako umiejętność, czyli spójnia tego wszystkiego, co przez wieki i narody wyrosło z poszukiwania prawdy w najrozliczniejszych jej kierunkach i objawach. Jeżeli ustawy, religia i państwa są tylko postaciami prawdy do stósunków czasu i oświaty zastósowanemi, i dla tego najwięcej uległemi względności, to umiejętność jest już samą oświatą, samem światłem prawdy, i dla tego najmniej względności uległą. Przekonanie tu jest silne, bo na rozumie oparte, i z tą samą prawdą jednoczące się. Nierównie silną, a w skutkach poświęcenia o wiele potężniejszą jest prawda mocą wiary nabyta, bo gorącem serca ogrzana, wszystkiemi potęgami uczuć władna i dla tego do najwyższego uniesienia zdolna. Pośredniczy pomiędzy jednem a drugiem prawo. Bo jako prawo nadane (pozytywne), oparte jest na rozumie, podnoszą jego wartość korzyści społeczne pod względem bezpieczeństwa osoby i mienia, pod względem wolności i swobód społecznych; — jako prawo naturalne oparte jest na uczuciach serca, płynących ze stósunku rodzinnego, narodowego i ojczystego, bo ród, naród i ojczyzna są rodzinnemi, naturalnemi postaciami uspółecznienia ludzkiego, a jako takie na związku krwi i plemienności oparte, z których wywiązać się musiały potężne uczucia miłości rodzinnej, miłości plemiennej i miłości ojczyzny.

Wiara, prawo i prawda umiejętna, są więc trzy różne formy prawdy jako takiej, która z nieba na ziemię zstąpiła, i nieustannie światłem swojem z Boga na ludzkość się przelewa, i na wybranych pomiędzy tą ludzkością, jak niegdyś Duch Święty na apostoły zstępuje. Są to trzy formy przekonania dla każdego z osobna człowieka, którem ujmuje i rozświeca sobie prawdę. Dla każdego jest prawdą to, w co wierzy; to, co za naturalne lub nadane prawo swoje uznaje; i to, co przez badanie prawdy, sam jako prawdę poznał. W każdym z tych trzech przypadków poświęcić siebie całego gotów, bo wie, że się poświęca dla prawdy, a w prawdzie jest Bóg.

W języku naszym natrafiamy na trzy sposoby mówienia, mówiąc o poświęceniu siebie. Mówimy *poświęcić się komu lub czemu; — poświęcić się dla kogo lub dla czegoś; —* i *poświęcić się za kogo lub za co.* Są to oraz trzy stopnie poświęcenia, które nam jeszcze bliżej rozważyć potrzeba. Wielka tu mądrość i logiczność języka naszego się odsłania.

(D. c. n.).

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

XV.

Sama carowa, usłyszawszy dzwony na gwałt bijące w stolicy, zatrwożyła się wielce, i nie wiedząc znaczenia wściekłego buntu, przypisując trwogę mieszkańców jakiemuś nieszczęściu, uklękła przed obrazem Matki Boskiej, którą była z sobą z Polski przywiozła, i gorącą modlitwą prosiła Jej o odwróceniu grożącej klęski miasta. Podczas modlitwy, wbiegają do jej komnaty nadworne damy w okropnem przerażeniu, i donoszą, że pałac otoczony pijanem żołdactwem, że zbuntowani wdzierają się do cara, i że koniecznie chcą także JMć Pani carowej komnatę odwiedzić. Maryna pobladła, struchlała. Cios tak nagły, tak niespodziewany, a jakiemś strasznem złowrogiem przeczuciem raniący jest serce — przełamał jej całe męztwo — zachwiała się, i prawie martwa padła na ziemię. Szybki ratunek dam nadwornych przywrócił ją do przytomności, ale przytomność ta, chyba jej na to tylko była potrzebną aby się groźnej igraszce losu z bliska przypatrzyła. Bo oto od jej komnaty niedaleko słychać hałas pijanego motłochu — we drzwiach jej pokoju stawa broniący napaści żołdactwa Osmólski, Polak, herbu Bończa, jedyny mężczyzna do obrony i bezpieczeństwa Marynie dodany, której słabą bardzo obroną były jej nadworne damy. Lecz daremne męztwo i poświęcenie się Osmólskiego — napróżno całą siłą zapiera drzwi komnaty carowej, zbójcy uderzający żelaznemi młoty udaremniają jego bezbronny opór — drzwi wyłamują, Osmólski ginie, Maryna wraz z wszystkiemi damami porwana i do więzienia wtrącona. Na to więzienie, w którem także osadzono i jej ojca, przeznaczono Monaster w Jarosławiu. I tam też w tym Monasterze skończyła się cała wielkość widoków Maryny, tam otworzyły się jej oczy na świat, i rozpoznała na nim toczące się koło szczęścia — które wprawdzie i samym szczytem w górę się wspina, lecz nagle tym szczytem tarzać się musi po ziemi, całym ciężarem swoim go gniotąc. Wiadomość o zamordowaniu Dymitra była także okropnym ciosem dla jej serca. A gdy się dowiedziała że zwłoki jego zostawione na pastwę rozpasanego tłumu, litością dopiero jednego kupca pogrzebionemi zostały i to w polu — w uczuciu najszczerszego żalu i najszczerszej boleści — ale oraz i w uczuciu pogardy i nienawiści do tego narodu, który tak swych monarchów znieważa — przeklinała przyjazd swój do Moskwy, przeklinała koronacyę swoję — przeklinała wszystko. (Przekleństwo kobiety, może się wam szanowne czytelniczki za dziko wydaje? O! nie — nie sądźcie tak — w najwyższem oburzeniu uczucia, za zniewagę wyrządzoną Bogu i sprawiedliwości, przekleństwo ciśnięte — nie jest grzechem). Nadewszystko zaś zrozumieć tego nie mogła, jakiem prawem wypędziło ją kilku z tronu, na który ją cały naród wprowadził — jak mogli zamordować Moskale tego, któremu niedawno najświęciej zaprzysięgli swą wierność i poddaństwo. I zadrżała gniewem, i ogień zemsty zapalił jej serce — a wrodzona duma ogrzana nowemi namiętnościami, dosięgła drugiego szczytu, dziwnego nader przeznaczenia.

XVI.

Bunt dokonany w Moskwie, którego ofiarą padła nieszczęśliwa Maryna, oprócz, że ze względu targnięcia się na koronowaną głowę, był najwyższą zbrodnią stanu, był prócz tego wielkiem lekceważeniem praw międzynarodowych, jakie między Polską a Moskwą, przez wprowadzenie Dymitra na tron, ustaliły zawarty na czas dłuższy, pokój. Zniewaga posłów, którym dla bezpieczeństwa odradzał Borys Naszczohin, aby się z Mniszchowemi nie łączyli, gwałtowna i tyrańska rzeź popełniona na szlachcie i książach przebywających w Moskwie, wreszcie nieprzyjacielskie knowania Szujskiego, okrzykniętego po Dymitrze Carem, ze Szwedami, wyraźnie ich przeciw Polsce oburzające, wszystko to rozerwało bardzo prędko węzeł zgody i pokoju Polski z Moskwą, i przygotowywało te dwa narody do krwawego, i wkrótce nastąpić mającego starcia.

W Polsce krążyły już wieści o wojennych ruchach Zygmunta IIIgo przeciw Moskwie, o chęci jego zdobycia tronu carskiego dla Władysława, i gotowano się już do boju, bo cały naród wrzał namiętnością zemsty na Moskwę za zamordowanie Dymitra, za zniewagi i obelgi wyrządzone Mniszchom, a mianowicie Marynie, i czekano tylko chwili stanowczego wystąpienia, w pogotowiu do zemsty na wroga. Zygmunt zaś III, jak zwykle słaby i zdaniu swemu nieufający, nie wie sam co robić; jedni bowiem z tych, których się o zdanie pytał, radzili mu aby korzystał z szczęśliwej pory, aby Moskwę opanował dla królewicza Władysława, i odzyskał prowincye dawniej oderwane od Polski; inni zasie zupełnie przeciwnie na tę rzecz się zapatrując, nie widzieli dla Polski żadnych korzyści w prowadzeniu wojny z Moskwą. Aleksander Gąsiewski, starosta wielejski, wysłany przez Zygmunta III na granice moskiewskie, celem zbadania położenia rzeczy i stosunków, w 700 koni dobranego żołnierza stał w Wielkich Łukach i pisywał listy do króla, do Lwa Sapiehy, wystawiające dokładne obrazy zaburzeń i gwałtów, w jakich się to nieszczęsne carstwo znajdowało naówczas *).

Tam tedy w Moskwie wszystko oburzało się przeciw Szujskiemu. Car ten, pamiętny wyrządzonych sobie krzywd przez nieprzychylnych bojarów, mścił się teraz najokropniej; — więzienia przepełniały się ludźmi, roszczącemi sobie choćby najmniejsze prawo do tronu — żołnierstwo, nawet fortece i załogi tychże jawnie odstępowały od Szujskiego, a naczelnik twierdzy *Wielkie Łuki* wydał w ręce Gąsiewskiego całą załogę, i zachęcał go do energicznego wystąpienia i działania przeciw znienawidzonemu Szujskiemu. Gąsiewski doniósł o tem natychmiast królowi. W Polsce właśnie wszystko drżało usposobieniem do boju. Wojna rokoszowa skończona. Potrzeba Kircholmska przygotowała krajowi mężnych i wyćwiczonych wojowników — młodzież odważna ale bezczynna wrzała gotowością rzucenia się wszędy, gdzie tylko otwierało się pole bojów i sławy.

Gdy tedy z różnych względów przedstawiono korzyści i potrzebę prowadzenia wojny z Moskwą, dał się nakoniec nakłonić bardziej pozorami aniżeli rzeczywistą prawdą przekonany. „Nastąpiły sejmiki przedsejmowe, na których po całej Polsce wojna ta pochwalona, a sejm złożony r. 1609, 14go stycznia, powszechną stanów powagą, wyjąwszy kilka tylko senatorów onę potwierdził.“ Skłonił się też nareszcie choć niechętnie **) do przyjęcia naczelnego dowództwa nad formującem się wojskiem Stanisław Żółkiewski, do którego Zygmunt III wysłał na Ukrainę naprzód Henryka Firleja referendarza duchownego koronnego, potem Stanisława Witowskiego. Przygotowani do boju wraz z Zygmuntem III i Żółkiewskim wyprawiają się nareszcie Polacy do Moskwy. Króla pierwszym planem było zdobycie Smoleńska —

*) Niemcewicz.

**) Powodem tej niechęci Stan. Żółkiewskiego był wpływ rodziny Potockich na króla, u którego przez to, rada i uwaga, choćby najdrowsza innych, mało bardzo lub nic nie znaczyła.

Żółkiewski odradzał znowu, utrzymywał bowiem, iż na samą stolicę natrzeć najkorzystniejszą byłoby rzeczą. Tam zaś stały dwa zażarte na siebie oddziały wojska nieprzyjacielskiego, jeden pod dowództwem siedzącego już na tronie moskiewskim cara Szujskiego Wasila, a drugi pod dowództwem nikczemnego oszusta, o którego pochodzeniu najrozmaitsze czytamy podania, głoszącego się ocalonym Dymitrem, a będącego najpodlejszym Samozwańcem. Epoka jednakże, i ten duch wsteczności, że tak powiem, zdołały i tak oszustowi pozyskać wielu przyjaciół, z których jednakże żaden niewierzył w jego urodzenie, owszem każdy o jego oszustwie był przekonany. Aby wystąpić przeciw Szujskiemu, stawano pod jego sztandary, bez względu na to kim był. Tak samo robili i Polacy, których oddział zostawał pod Samozwańcem; zawzięci nienawiścią i pałający zemstą na Szujskiego, złączyli się z oszustem. Żółkiewski więc radził królowi, a rada jego była bardzo zdrowa i praktyczna, bo to był wódz dzielny i gienialny, aby uderzyć odrazu na Moskwę. Przedstawiał między innemi i tę korzyść, że będący z Samozwańcem Polacy, złączą się odrazu z królem, że Szujski nie ma wiele sił, bo większa część kraju Dymitra carem już sobie obrała, lecz daremnemi były te rady; uparty król, bez najmniejszej działając podstawy, lekceważył sobie najżyczliwsze rady rozsądku i doświadczenia, choć już nie raz takiego lekceważenia był żałował.

(C. d. n.)

LEKARKA WIEJSKA.

Ziemię wkoło srebrzysty pokrył bisior śniegu,
Mróz był trzaskący — wicher w szalonym rozbiegu
O martwe drzew konary łamał dzikie echo...
Kiedy w lepiance nędznej z wpółprzegniłą strzechą
Straszny grasował tyfus.

Na wiązce barłogu
Z dwojgiem dziatek leżała matka tuż przy progu;
Nad głową jej od dymu pożółkły i zmięty,
Przyczepiony na ścianie wizerunek święty;
Dalej po za nalepą jedyny sprzęt: żarna,
I chaty żywicielka stała krówka czarna.

Gospodarz za zarobkiem wyszedł — a tu w domu
Ni podać kropli wody, ni posłużyć komu,
Nikt z sąsiadów niezajrzy, bo wieść po wsi gruchła,
Ze w chacie zaraźliwa choroba wybuchła.

Odważniejsza od innych, litościwsza może,
O zmroku przyszła kuma służebna we dworze
Odwiedzić chorą — chorej odjęło już mowę,
Wzrok szklany jak źrenice statuy matowe
W słup wytężyła — usta gorączką spalone
Bełkotały wyrazy wpółniedomówione,
I dłońmi czegoś ciągle chwytać się chce biedna,
Jakby tonący brzytwy, gdy śmierć patrzy ze dna.

Łzy współczucia wytrysły z ócz przybyłej ciurkiem
I spadły jej po licu gęstych pereł sznurkiem;
Wyciągnęła ramiona ku niemowląt parze...
— Żarem płomienia drobne buchały ich twarze —
Chwyciła je na ręce i tuląc namiętnie,
Sercem bada prąd życia w ich zbieganem tętnie;
A matka niby lwica którą strzał doścignie,
Tocząc zbłąkane oko za dziećmi w malignie
Szeptała bezprzytomnie rozerwane głoski,
Z których się ułożyło imie Matki Boskiej.

Drzwi się nagle otwarły — zimny wiatru tuman
Wpadł do izby — gospodarz powrócił zaduman
I dwa snopy okłotów rozrzucił przy ścianie,
Dla konających zwykłe przedśmiertne posłanie.
„Bóg was sprowadza!“ rzekła z boleści wyrazem
Dworska sługa — „toć kumie, tu trzy śmierci razem!
„Na gwałt dziś jeszcze trzeba księdza lub doktora —
„Spieszcie póki czas, co tchu po radę do dwora.“
„Do dwora!“ chłop po dwakroć powtórzył to słowo,
Zamyślił się głęboko i pokiwał głową.
„Do dwora? — mnie dziś panom niespojrzeć już w oczy,
„Grzech przeciw nim niejeden sumienie mi tłoczy,
„Krzywd zapomnieć niemogli — wyszczuliby psami...
„Nie — niepójdę, niepójdę!

„Kumie! Pan Bóg z nami,
„On nas w niedoli wesprze!“ — I w wyścig z wiatrami
Pobiegła. Księżyc rzucił przez dymnych szyb kratę
Blask swój, jak w złotą morę utkaną makatę
Po nad łożem boleści, i w świetlane zwoje
Opromienił twarz chorej i niemowląt dwoje.
I w owej właśnie chwili weszła w próg lepianki
Pani... dziedziczka włości i wzór chrześcianki.
Weszła — w ślad jej nadzieja wstąpiła do chatki,
Błogi uśmiech oblicze rozprzytomnił matki,
Niemowląt drobne rączki jak listki ku słońcu
Wyciągnęły się ku niej — sam gospodarz w końcu
Ścisnął jej stopy, kiedy wśród zabiegów skorych
W świeżej pościeli złożyć pomagała chorych.

Odtąd całe godziny nieraz w dzień i w nocy,
Jak anioł stróż czuwała nad łożem niemocy,
I wyczerpując środków doświadczonych szereg,
Życie z dogasających nieciła iskierek...
Wreszcie z lic, które ostry cierpień ząb szkielecił,
Blask zdrowia przywróconym rumieńcem zaświecił,
I w serca — gdzie nienawiść długie wiodła harce,
Jedno wrosło uczucie — wdzięczność ku lekarce.

I czemże jest niewiasta, marne cacko świata,
Kwiat co pachnie i więdnie, motyl co ulata
W złotej przeźroczy złudzeń? czem jest, gdy miłością
Rozbóstwia serca wrzące zemstą i dzikością,
Gdy poświęceniem z uczuć wysnutem przędziwa
Spękane społeczeństwa zwięzuje ogniwa?

Czem jest? — odpowiedź na to w sercu odszukacie,
Spojrzyjcie tylko na nią w cnót jej majestacie:
Jako na Polkę, matkę, chrześciankę razem...
A któż czoła nie ugnie przed takim obrazem?

A. K.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Ciąg dalszy).

— Ty ją kochasz? i kochasz bardzo — nieprawda? Ja ciebie pytać się o to niepowinienem, bo tu — w tych oczach wyryte wszystko. Lecz czemuż cierpisz? Czyż miłość wiecznie ma być cierpieniem? Mnieby się przeciwnie zdawało. To święte, boskie uczucie rodząc się w duszy człowieka, powinno go uświęcić, ubłogosławić, więc uszczęśliwić najwyżej...

— Prawdę mówisz mój przyjacielu, odrzekł na to Wit-Stwosz, niezawodnie — miłość uszczęśliwia człowieka, lecz ileż to rozlicznych osobistości wystawionych jest przez los na igraszkę tylko tego szczęścia. Ja należę do ich liczby. Ja, nic nie znaczący rzemieślnik, miałżebym czoło zbliżyć się do córki burmistrza? mógłżebym ośmielić się starać się o jej rękę? Rozumiesz drogi minstrelu, iż nie mogę — tak więc miłość moja żyje we mnie, a całym jej oddźwiękiem ta oto rzeźba, i ten tu w duszy rodzący się ideał, nigdy urzeczywistnić się nie dający — a miłość bez udziału, bez wzajemnej miłości, nie jestże cierpieniem? nie jestże boleścią tylko?

— Mówisz dobrze i rozumnie, ale brak ci najpiękniejszej właściwości tego uczucia, którem jesteś przejęty, brak ci wiary w Boga i ufności w swą pracę. Wiara powinna cię uspokoić i natchnąć nadzieją lepszej przyszłości, ufność w swą pracę, powinna się upewnić, iż będziesz kiedyś godnym, zasługą i wytrwałością zdobywszy sobie stanowisko, sięgnąć po rękę nietylko panny burmistrzanki, ale dajmy na to, nawet i senatorówny jakiej. Cóż to u diaska, mówił zapalający się minstrel, duch twój, tak pięknie uposażony od Boga, nie byłżeby tego godnym? Czy ołtarz skończyłeś?

— Skończyłem.

— Masz więc prawo i obowiązek udać się z uwiadomieniem o tem do pana burmistrza, aby pielęgnującą twą pracę komisyą rozwiązał, a wyznaczył delegacyę z biegłych w sztuce złożoną, do rozpoznania twego dzieła, i do przyznania mu wartości wyznaczonej przez konsystorz.

— Prawda, szczęśliwy twój podszept drogi minstrelu, pójdę tam, może ją ujrzę, może z nią będę mógł choć parę słów pomówić. Ach! jakaś dziwna nadzieja napełnia moje serce.

— Zrób tak, zrób — i to jak najprędzej, a nie wątp tyle o sobie. Posłuchaj rady przyjaciela, który ci dobrze życzy.

W rzeczy samej rada ta pochodziła z serca.

— Lecz prawda — zawołał oprzytomniony rzeźbiarz, przebacz mi drogi minstrelu, żem dotąd mógł się obejść bez zaspokojenia mej ciekawości o twojej podróży. Jakże się bawiłeś?

— Wybornie — odrzekł Fryderyk — przejechałem mil ze trzydzieści, z piosnką na ustach, spokojem w duszy, i swobodą w sercu. Ach! nie uwierzysz drogi przyjacielu, ile rozkoszy sprawia człowiekowi taka przejażdżka. Widzi się wszędzie życzliwych i znajomych już przyjaciół, którzy tem radziej człowieka przyjmują, że nie widzą potrzeby spłacania mu jakiegoś podatku — piękne twarzyczki naszych Polek — piękne zresztą naszej tak cudnej, tak urozmaiconej krajobrazami ziemi, wszystko to człowieka zachwyca, porywa — serce wtedy porwane urokiem otaczającego je świata bije jakąś nieznaną tu dla was, miast mieszkańców nutą, do oka ciśnie się łza rozrzewnienia, a dusza korzy się przed ślicznem polskiem niebem, korzy się przed Stwórcą, który najwięcej przez to wyświadczył ci łaski, że cię stworzył Polakiem, że możesz śmiało szczycić się przed światem: te pola zielone i urodzajne, te grody pyszne i silne — te lasy wspaniałe, niby wojennym szlakiem po górach straż trzymające – te wstęgi, jakby ręką kochanki na piersi tej ziemi przypięte, rzek i strumieni, te wszystkie cuda przyrody — to Polska jest! to moja ojczyzna, to wszystko moje, bo i ja jestem Polakiem! O, takiem uczuciem upaja mię każda podróż moja, powiedz więc, czyliż nie słusznie tak chciwie wyglądam tej pory, w której już można tych rozkoszy doznawać.

— Minstrelu! drogi minstrelu! zawołał wtedy rozrzewniony jego słowami, jego ojczystem uczuciem Wit-Stwosz — powiedz mi, kto ty jesteś? Twoja postać jest dla mnie wielką tajemnicą.

— Mówiłem ci przy pierwszem naszem poznaniu, pamiętasz będzie temu dwa lata, kiedyś już tę najważniejszą grupę twego ołtarza ukończył, mówiłem ci wtedy, że jestem włóczęgą — pracującym jedynie dla rozrywki nad układaniem pieśni dla kościelnych śpiewaków*); mówiłem ci, iż po rodzicach spadły na mnie majątek, wystarcza mi, to aż do zbytku do życia, nie ma więc w tem żadnej tajemnicy, a tem bardziej, że jak sądzę, wiesz dobrze o najpoważniejszej istocie mego życia, tj. o mej przyjaźni dla ciebie.

— Minstrelu, zawsze mię zbywasz taką odpowiedzią, a zawsze zostawiasz mię w niepewności.

— Nic pewnego nie ma pod słońcem. Tak i ze mną, dziś jestem włóczęgą a jutro mogę być... czemże mogę być na przykład — ot mogę być księdzem, plebanem, kanonikiem, biskupem, kardynałem itd. Co tam o takich rzeczach dysputować. Czem jestem? i czem jestem? pytasz się i pytasz — jestem twoim przyjacielem i koniec.

— O tem wiem dobrze – gdy jednakże to, o czem nie wiem, wyjawionem być nie może, nie będę cię dłużej nudził, i poskromię moją ciekawość.

Tak więc Wit musiał poprzestać na tej wiadomości, że jego przyjaciel jest minstrelem, że mu na imie Fryderyk, że jest Polakiem i do tego bogatym, lecz ani nie wiedział, gdzie mieszka, jakie jest jego nazwisko, jaki stan i jakie powołanie.

Ksiądz kardynał przed wieloma w ten sposób się maskował, a dla dobrego odegrania roli, zmieniał nawet mowę i na twarzy różne malował sobie dodatki. Zaprawdę dziwna to bardzo słabość, a przyczyn jej, jako też i lekarstwa na nię nie znają zapewne i dzisiejsi lekarze.

Nie długo potem zabawił już Fryderyk u Wita, piękny i pogodny dzień, wywołał go z ciasnego, jak powia-

---

*) Nie Fryderyk wprawdzie, ale rzeczywisty śpiewak i pierwszy twórca kantyczek był także przyjacielem Wita. Fryderyk jednakże układał też pieśni kościelne, które na nabożeństwach odpustowych lud powtarzał za organistą. P. A.

dał, zakątka murów miastowych — pożegnał Wita, przyobiecał wkrótce go znowu odwiedzić — na odchodnem zobaczył jeszcze ukończony ołtarz, powinszował jego twórcy wysokiego gienijuszu, który niezawodnie odgadł, choć na prędce — i wybiegł na ulicę, nie w miasto, lecz w pole na wolne powietrze zdążając.

Wit pamiętny rad swego przyjaciela postanowił jeszcze tego samego dnia pójść do burmistrza, co też i nie zadługo uskutecznił.

IV.

Spomnienie historyczne.

Jużeśmy na samym początku naszego opowiadania spomnieli, iż wydarzenia przedmiot nasz stanowiące przypadały pod koniec panowania, nie bardzo dzielnego, ale utrzymującego jeszcze naród w porządku, Kazimierza Jagiellończyka.

Pod panowaniem tego syna dzielnego Jagiełły, narodowi nie wiodło się tak świetnie jak dawniej, jak za czasów jego ojca, był wszakże jeszcze i ład między szlachtą, i karność była w wojsku, i mieszczaństwo w dość dobrym rygorze dzierżono. Król miał jeszcze wiele do czynienia z krzyżakami, nie mógł przeto czuwać tak troskliwie, jak to na ojca narodu wypada, nad prawem i sprawiedliwością – i z tego to jedynie powodu wydarzały się czasem i między szlachtą i po miastach od panów burmistrzów wedle prawa magdeburgskiego rządzonych, nadużycia i wypadki, nie ciskające wszelako złego światła na uczciwe i sprawiedliwe choć słabe panowanie Kazimierza. Nieszczęśliwy, a właśnie na on czas przypadający, wypadek Andrzeja Tenczyńskiego, świadczy najwyraźniej o nadużyciu mieszczan krakowskich, posiadających widać łatwe środki do uzyskania przywileju nawet na zbrodnię, u swojej bezpośrednio najwyższej władzy burmistrza. Z drugiej zaś strony i szlachta pokazuje się już pod Kazimierzem jakoby nowe państwo w państwie. Wprawdzie dopiero panowania synów Kazimierza, a mianowicie Aleksandra, przedstawiają szczyt jej dążeń, któremi były samowola, bezkarność, a nawet tu i owdzie pojawiający się terroryzm despotycznego wydzierstwa drugim ich praw i majątku; lecz za Jagiellończyka pojawiały się już tych dążeń zarody — a wszystko to z wewnętrznych niepokojeń i napadów, a i po części z nieudolności panującego pochodziło.

Po miastach najwyższą władzę dzierżył pan burmistrz, najczęściej człowiek goniący za osobistemi korzyściami, więc o dobro powierzonego swej opiece i władzy miasta mało lub nic nie dbający, rządził się nadto magdeburgskiem prawem, które nad cudzoziemcami, na on czas wielką część mieszkańców miast stanowiącemi, szczególniejszą rozciągało tarczę obrony i bezpieczeństwa. Rada po większej części składała się np. w Krakowie za Kazimierza Jagiellończyka z samych Niemców, a posady pisarza miejskiego nie udzielano prawie nigdy krajowcowi, dając za przyczynę, że krajowiec ani prawa, ani języka, ani potrzebnego wykształcenia nie posiada. Można więc sobie łatwo ztąd wyobrazić jaki był wtedy stan miast, których kierownictwo w obcych zostawało rękach. Handel kwitnął, wywóz zboża a mianowicie pszenicy dostarczał krajowi wielkiego bogactwa, a napływ cudzoziemców do miast, po zyski przybywających, uczył mieszczan naszych spekulacyi. W miarę zaś podwyższenia się tego rodzaju cywilizacyi, inne jej gałęzie nie wydawały wcale świetnych owoców. Nauki, choć miały mistrzów swoich, jakimi byli np. w Krakowie śty Jan Kanty, Długosz, nie stały jeszcze na takim stopniu, aby jaśniały między innemi narody; sztuki piękne i literatura bardzo mało miały swych kapłanów, a i tych, którzy niemi byli, nie ceniono należycie. Odniosłszy np. to twierdzenie do rzeźbiarstwa, którego kapłanem i mistrzem był Wit-Stwosz — widzimy że ten Wit-Stwosz, za nic zupełnie, bardzo długi czas, nie uważany, nie byłby doszedł do tych honorów i zaszczytów, jakie go później spotkały, gdyby nie szczególna protekcya króla i przyczyna wielce uczonego księdza kanonika Długosza. Temu to mężowi zawdzięczać winniśmy bardzo wiele dobrych zakładów naukowych i religijnych. On swoją nauką i swoją szlachetnością wynagradzał brak energii króla — sam wznosił kościoły, ustanawiał szkoły, wyszukiwał i wspierał zdolności, i był najlepszym i najczynniejszym opiekunem wiary, nauk i sztuk. Prócz niego, nie było w całym Krakowie troskliwszego o wykształcenie narodowe męża. Nie dziwić się więc, że w oczach nieznających się na niczem władzców miejskich, taki Wit-Stwosz, który dla swego nazwiska i nie dobrze wyjaśnionego pochodzenia swych rodziców, nawet do cechu z wielką trudnością był przyjęty, nie był szanowany tak, jakby dziś taki talent szanowano i czczono. Nazywany rzemieślnikiem, po wielkich korowodach otrzymał pozwolenie prowadzenia swego rzemiosła, a nikomu jego prac wzniosłych nie śniło się nazwać sztuką — ani tembardziej jego samego artystą lub sztukmistrzem. Pojęcie sztuki i smak do niej był jeszcze wtedy w uśpieniu. Drugim zgubnym skutkiem napływu cudzoziemców do miast polskich, było zepsucie obyczajów, przez nieszczęsne rozpowszechnienie gorzałki, którego epoka także na czas panowania Kazimierza Jagiellończyka przypada. Jako bowiem dziecku dając do spróbowania wódki, spoisz je i odurzysz od razu, tak wtedy i naród, dzieckiem w tej zgubnej praktyce będący, upajał się, odurzał i tracił właściwy zapał ducha, usypiając nieznanym mu napojem. Sądzę, że i na tej drodze cywilizacyi robione postępy, tamowały rozwój innych, a pożytecznych jej rodzajów. Tak więc widzimy, iż miasta polskie, a mianowicie też Kraków, wcale świetnego nie przedstawiają nam obrazu w owym wieku. Pojmiemy więc łatwo, dla czego takiego człowieka, który wyższemi od Boga obdarzony zdolnościami, nie mógł i nie umiał się zniżyć do reszty poziomych ludzi, uważano za *coś* dziwnego, czego pojąć nie mogli, co się im dla tego nie podobało, i co sobie lekce bardzo ważyli. Były wyjątki, boć bez nich żadnej nie ma reguły, ale te rzadkością swoją tak malały i nikły w tłumie ogólnego zepsucia i niskości, że ich ani historya, ani kronikarze nie zapisali.

Zrobiliśmy tu szanownym czytelniczkom naszym mały szkic usposobienia Krakowa, w którym nasz Wit żył, pracował i później znakomicie zasłynął. Szkic to tylko ogólny. Celem zaś przytoczenia go tutaj, jest niejako wyjaśnienie stanowiska Wita, które sądziliśmy przezeń co nieco bliżej określić.

V.

Pierwsza wizyta u pana burmistrza.

Kto już kiedy w swem życiu wypieścił sobie w duszy ideał, i otoczył go aureolą piękności i uroku, stwarzając dlań świat całkiem nowy i inny od rzeczywistego, i kto dopiero potem zbliżał się do chwili porównania tego ideału z pięknością rzeczywistości — ten tylko odgadnie i pojmie dokładnie ten niepokój, to drżenie serca, ten zresztą wszystkich nerwów dreszcz gorączkowy, w jakim Wit-Stwosz zbliżał się do mieszkania

Państwa Wyrębskich. W takich bowiem razach chodzi o to, czy twórca owego ideału zachowa go na dal przy życiu i dawnym powabie w swej duszy, czy też świat rzeczywisty nie zetrze przypadkiem (co się najczęściej zdarza) z niego najpiękniejszej jego świeżości, jego uroku, niby zimny i niepotrzebny wicher, zdmuchający całą piękność i ozdobę kwiatu — ów leciuchny pyłek, niejako idealną jego szatą będący... Marzyciel kocha swój ideał — żal mu więc wystawiać go na niepewną walkę ze światem — lęka się rozczarowania, które takie zimno zostawia po owym ideale w duszy, jakiem zaczyna ziębnąć ów trup, z którego dopiero co dusza odleciała; — z taką też obawą, z taką miłością swego ideału i z taką trwogą o jego dalszy żywot, zapukał Wit do drzwi od mieszkania Burmistrza. Otworzono je wkrótce, i piękna postać znajoméj nam Zosieńki, powitała nieznajomego jej gościa.

— Waszmość Pan zapewne do mego ojca, zapytała się miłym, o! dla Wita najmilszym głosem.

Wit zapomniał, jak to mówią, w gębie języka — będąc cały olśniony urokiem piękniejszej, jak mu się zdawało, od jego ideału Zosi — ledwie więc odpowiedzieć zdołał: Tak jest.

— To proszę wejść, Waszmość pan zaczeka troszkę na niego, a on tu wkrótce ma powrócić. — Wit wchodził, a wtedy dał się słyszeć z dalszej komnaty głos groźny i w obcej mowie podniesiony: Sophie! wer ist denn dort?

Był to głos pani Wyrębskiej, ze swojemi mówiącej ojczystym językiem, bo nie mogła w żaden sposób ani przez 18 lat nauczyć się dobrze po polsku. Zosia pobiegła do niej i oznajmiła gościa, wprawdzie jego nazwiska nie znając, który miał pilny interes do ojca. Witowi zaś wskazała miejsce, aby je zajął i zaczekał na przybycie mamy. Widzimy więc, że była gościnną. Światu jego ideału dodawała ona coraz więcej świętości. Niezadługo okazała się podstarzała, czerwonawa i dość otyła jej mama, która jednak ideału jego matką w żaden, najlitościwszy sposób być by nie mogła.

— Wit się skłonił uprzejmie i rzekł: Jestem Wit-Stwosz, i mam bardzo pilny interes do szanownego Jegomości Pana Burmistrza.

— Proszę sziadacz. Monsz mego bald tu benzie.

— Waszmość Pan jesteś zapewne twórcą owego pięknego ołtarza, na który pobożni Krakowianie już tak długo i tak niecierpliwie czekają — mówiła Zosiunia.

— Tak jest łaskawa Panno! I dziś właśnie przychodzę tutaj z wieścią o jego ukończeniu.

— A ha — to pan do koszcziola robil schöne figurki? wtrąciła Jejmość swoje.

— Tak jest.

— Cieszyć to będzie wszystkich niezawodnie. O, ja już tak gorąco pragnęłam doczekać się końca tej roboty! Praca to wielka — i mozolna.

— Lękam się też bardzo, mówił Wit, zachwycający się coraz bardziej Zofią, czy odpowiedziała godnie tak wzniosłemu przedmiotowi.

— Wnosząc z tego, cośmy już dotąd dłuta Waszmości widzieli, jesteśmy, a przynajmniej powinniśmy być o to spokojni.

— Zbyt łaskawie sądzicie o mnie, panno.

— A szo ten oltar, niby darstellt, spytała Pani Wyrębska.

— Przedstawia, wytłómaczyła Zofia matkę.

Wit wytłómaczył całą treść znajomego nam ołtarza, a opis jego pełen natchnienia i poezyi, zachwycił, podziwiającą go Zofię. Mówiono jeszcze słów parę o całym układzie utworu, gdy wejście Pana Burmistrza przerwało miłą dla obydwóch stron, choć wcale z różnych przyczyn rozmowę.

— Pan Vajt, przekręcając imie, przedstawiała gościa małżonkowi Jejmość. To monsz.

— Mam honor znać, rzekł powstawszy i skłoniwszy się burmistrzowi Wit-Stwosz. Pani burmistrzowa, wraz z Zosią natychmiast odeszły, a burmistrz strzepując chustką kurz butów, i wyglądając przez okno słuchał interesu, w jakim go Wit nawiedził.

— Więc ukończono? Hm, hm! dosyć długo trwała ta robota.

— Była to praca wielka i trudna.

— A czyście jej podołali?

— Tego o sobie sam powiedzieć nie mogę.

— Ha! zobaczemy, zobaczemy. — Nie wiemy jeszcze wcale, czy właśnie robota wasza przyda się na cel przeznaczony. Bo czy wasze ukończone teraz dzieło jest ołtarzem, który odpowie wymaganiom wszystkim należycie, to się dopiero w końcu pokaże.

— Nie jestem wcale uprzedzony o zaletach mego dzieła, odpowiedział rzeźbiarz, lecz ponieważ ono przeznaczonem być ma do największego kościoła naszego miasta — upraszam o wyznaczenie ludzi biegłych w sztuce, którzyby zechcieli rozpoznać mój ołtarz a zarazem sprawiedliwie ocenić jego wartość.

— Zrobi się to zrobi, bądźcie spokojni, lecz naprzód upominam cię mój bracie, (był to zwrot popularności pana Jacentego) ażebyś się nie spodziewał wielkich sum za twoją robotę. Ciężkie to dzisiaj czasy, a rzeczy takie nie są w cenie.

— Żądania moje nie będą zapewne przesadzone.

— Spodziewam się. A teraz, możesz być spokojnym, i czekać aż wyznaczona do tego delegacya dla rozpoznana twego dzieła sama się zgłosi do ciebie. Po tych słowach odwrócił się znów ku oknu. Był to znak, że już czas odejść. Wit też zaraz powstał, skłonił się Panu Burmistrzowi — który go bardzo obojętnie pożegnał, i wyszedł. Na tem skończyła się pierwsza wizyta rzeźbiarza w domu rodziców najdroższej sercu jego istoty. Powróciwszy do domu, na szali uczuć swoich ważył każde jej do niego wymówione słowo, i może za wcześnie łudził się pozorem ich znaczenia.

(C. d. n.)

WYPRAWA
po guwernera i guwernantkę,

w 6ciu scenach

(podsłuchane).

Scena Isza (*w domu na wsi*).

Pani Sewerynowa, *(później)* P. Dyonizy *(jej mąż)*.

P. Sewerynowa *(sama, przerzucając kartki pierwszego numeru Niewiasty)*. Już też tym literatom doprawdy w głowach się przewraca, nie jestem dziś w humorze, a jednak od śmiechu wstrzymać się nie mogę — bo też, co prawda, nie ma nic zabawniejszego od zakorzenionej się od jakiegoś czasu manii moralizowania nas, a teraz jak uważam zupełnej reformacyi. Od siebie moi Panowie było wam poczynać, a nie od nas, tak nazwanych słabych istot, do których ja się niezaliczam, a które przymuszone częstokroć dźwigać wasze ciężkie jarzmo, pod niem upadają, stając się współgrzesznemi li waszych zdrożności. Ja dzięki rozsądkowi, potrafiłam wyrobić sobie niezależne stanowisko i otrząść się z tylo wiecznych przesądów. Nie mój małżonek, ale przeciwnie ja jestem tutaj głową domu, a przecież pomimo tego anormalnego stosunku (wedle mniemania ludzi), źle się nie dzieje. Małżonkowi przeciwnie bardzo nawet zdaje się być z tem dobrze, zdetronizowany władzca najmniejszego dotąd niezrobił mi wyrzutu, protestacya jego ogranicza się jedynie na rezygnacyjnem poruszaniu ramion. Prawda jest: że w okolicy udarzono go za to przydomkiem pantofla, hetki pentelki i Bóg wie jakim jeszcze innym, co jednak ani mnie ziębi, ani też i grzeje, bo i ludziom nigdy w niczem niedogodzi. *(P. Dyonizy wchodzi)*. Właśnie co tylko posłać miałam po Waćpana, abyś

się wytłómaczył z niedorzeczeństw, jakich się dopuszczasz — niemiałeś widać spełna rozumu abonując pismo, które chyba zaściankowej szlachciance przydaćby się mogło. Co raz częściej widno zapominasz się WaćPan, że żona twoja bliska jest krewna hrabiego Hieronima, że przez niego skoligacona jestem z książęcemi rodzinami.

P. Dyonizy. Ale bo to widzisz moje kochanie . . .

P. Sewerynowa *(przerywając)*. Że nieznoszę żadnego, ale myślę wiesz Pan o tem od dawna— chyba żeś się już i ty nawet wpisał w poczet reformatorów.—Zapowiadam i to nie żartem, żebyś odesławszy ten numer, zrzekł się nadal prenumeraty. Purysta! proszę, możebym się doczekała jeszcze morałów.

P. Dyonizy. Ale, bo widzisz, daj się przekonać kochanie.

P. Sewerynowa. Kiedy dotąd przekonań jego nie podzielałam, i nadal podzielać nie myślę. Dość było z mojej strony poświęcenia, kiedy stając z nim przed ołtarzem, moją raczyłam go uszczęśliwić ręką.

P. Dyonizy. Unosisz się kochanie, przecież ja nic przeciwko temu niemam i niemiałem.

P. Sewerynowa. To proszę mnie nie nudzić, ale zdać mi coprędzej należytą relacyą z moich zleceń, tyczących się guwernera i guwernantki, po co głównie jeździłeś WaćPan do Krakowa.

P. Dyonizy. Za tydzień będziesz ich miała kochanie.

P. Sewerynowa. Za tydzień, to mniejsza — któż oni? Czy Anglik rodem z Londynu—czy Francuzka rodowita Paryżanka?

P. Dyonizy. *(zakłopotany)*. Ani jedno, ani drugie — nieoglądało Francyi, tem więcej Anglii. Oboje rodem z Krakowa.

P. Sewerynowa. Z Krakowa! myślę, że Waćpan żartujesz ze mnie?

P. Dyonizy. Wszystko jest niestety prawdą *(cofając się)*.

P. Sewerynowa. Prawdą! ha! ha! ha! z Waćpanem to już widzę przyjdzie mi owaryować—kompletnie uważam w głowie ci się pomięszało, bo myślę, niezapomniałeś, że kierownictwo moich dzieci jak najwyraźniej zaraz sobie po ślubie zastrzegłam, aby tym środkiem zabezpieczyć ich w przyszłości od niedorzeczeństw mezaliansu — czego się dopuściłam zaślubiając go.

P Dyonizy. Chciej mnie wysłuchać kochanie.

P. Sewerynowa. Wysłuchać! wysłuchać pańskiej głupiej gadaniny cierpliwości niewystarczy — a może do tego owa jakaś tam rodaczka młoda, zalotna, z pięknemi oczkami i z zawsze uśmiechniętym buziakiem. O! wiem, wiem już teraz bardzo dobrze, czego się Waćpanu zachciewa na starość.

P. Dyonizy. Nieposądzaj mnie kochanie, wiedz, przybywszy do Krakowa na moje i twoje nieszczęście spotkałem się z Gustawem, moim dawnym kolegą i przyjacielem.

P. Sewerynowa. *(przerywając)*. Zapewne libertynem, niegdyś współtowarzyszem birbantek? Ale mów pan, mów dalej.

P. Dyonizy. On tedy ofiarował mi u siebie nietylko mieszkanie na czas mojego pobytu w mieście, ale obok tego przyrzekł mi pomoc w odszukaniu guwernera, kiedy jego żona, anioł dobroci kobieta, sama oświadczyła się z nastręczeniem guwernantki.

P. Sewerynowa. Anioł! anioł! no proszę — u was wszystkie są aniołami oprócz własnych żon — lecz nieprzerywam.

P. Dyonizy. Niewidząc się z Gustawem lat kilkanaście, wyznam, niemogliśmy się nagadać do woli, wynurzając nawzajem wszystkie troski i dolegliwości tego życia.

P. Sewerynowa. *(przerywając)* A jakież to Waćpan masz troski? O cóż się to troszczysz? Co tego to zanadto — ale prosze kończyć.

P. Dyonizy. Zapytany o moje dzieci...

P. Sewerynowa. *(z oburzeniem)*. O moje dzieci! to zabawne, to doprawdy śmiechu godne, bo i któż to upoważnił Pana rozgadywać się w materyi, o której najmniejszego niemasz wyobrażenia? Ale wygadaj się Waćpan z reszty, będę milczała, będę cierpliwą — słucham go, słucham.

P. Dyonizy. Kiedy powiedziałem mu jakiej to chcę guwernantki i jakiego guwernera, parsknął śmiechem — ja bardzo, rzecz prosta, tłómaczyłem się wyznając, że skoro Juliusz i Eliza od urodzenia mieli bonę Szwajcarkę, nierozumieją tem samem po polsku, niemogliby zatem korzystać z wykładu uauczycieli Polaków, a co najważniejsza dodałem, że moja żona tak sobie życzy i tak też być musi. Co skoro tylko posłyszał, takim na mnie spojrzał wyrazem litości i zarazem oburzenia, że . . .

P. Sewerynowa *(przerywając)*. Że Waćpan zgłupiałeś, co nic nadnaturalnego. Cóż dalej? Cóż dalej?

P. Dyonizy. Później jak mi zaczął przekładać, tłómaczyć, jak mnie zaczął przekonywać . . .

P. Sewerynowa *(podchwytując)*. Tak i przekonał, co nic dziwnego, kiedy własnego niemając zdania, na zdaniu żony niepolegasz, co zapewne było powodem przyjęcia ludzi, od których dzieci moje nicby nauczyć się niemogły.

P. Dyonizy. I owszem Gustaw zapewniał mnie, znając ich osobiście, że oprócz języków i nauk przyrodzonych, znają doskonale historyą naszego narodu i literatury.

P. Sewerynowa. Historya! Literatura! bez tych wiadomości nietylko dzieci moje obejść się mogą, ale i powinny, bo nieżyczę sobie, aby uniesione szałem jakiejś wymarzonej miłości ojczyzny, skończyły na rusztowaniu, albo co najgorsza, gdyby przejęły się zasadami demokratycznemi przeciwnemi ich powołaniu, ażeby nareszcie zespoliły się z tą warstwą społeczeństwa z której ja Waćpana wydobyłam — krew moja, która w nich płynie, daje mi prawo wzniesienia się nad motłoch — mojem więc będzie zadaniem, dać im godne stanowisko w sferze ludzi, do której niezaprzeczone mają prawo.

P. Dyonizy. Ale zastanów się kochanie, wszakże śtej pamięci kasztelan a dziad twój wprost przeciwnego był pojęcia, bo nietylko zrzekł się tytułów i godności nadanych mu przez Katarzynę, ale tem wszystkiem pogardziwszy, poszedł z Puławskim bronić sprawy narodowej.

P. Sewerynowa. Był nierozsądnym; przyjąwszy tytuły nie byłby naraził swojej wnuczki na przekąsy arystokracyi, zaprzeczającej mi hrabiowskiej mitry, a która nie innym sposobem przecież do takowej wzniosła się godności.

P. Dyonizy. Gdyby i tak było, to jeszcze powiem ci kochanie, że dzieci hrabiego Adama nietylko że mówią po polsku, co na własne słyszałem uszy — ale i polskich mają nauczycieli, i to właśnie najwięcej mnie spowodowało do przyjęcia guwernera i guwernantki z Krakowa —

P. Sewerynowa. *(zastanawiając się)*. Hr. Adam — nie, to być nie może — to kłamstwo, to oszczerstwo, onby się tak nieponiżył – chybaby się już zbliżał koniec świata.

P. Dyonizy. I to być może. Jeden pasterz, jedna owczarnia, mówi pismo święte, zdaje się więc, że ludzie w ostatku zrównać się muszą, to jest że albo wszyscy będą arystokratami, albo też wszyscy demokratami — to drugie jednak zdaje mi się prawdopodobniejszem.

P. Sewerynowa. Jesteś dowcipnym— ale do tego jeszcze daleko — tego ja dzięki Bogu niedoczekam. Co zaś do prowadzenia dzieci przez hr. Adama, o tem naocznie przekonać się muszę — każ Waćpan coprędzej zaprzęgać, sama będę przymuszoną udać się do Krakowa, kiedy na niego spuścić się niemożna, — ale i Waćpan zemną zabrać się raczysz, musisz zapoznać mnie z Gustawem, abym mszcząc się za ciebie i ja w oczy mu się rozśmiała.

P. Dyonizy. Ale zmiłuj się kochanie...

P. Sewerynowa. Niemam już nic więcej do powiedzenia, proszę kazać zaprzęgać, samemu być gotowym i mnie czasu nie zabierać — do zobaczenia.

P. Dyonizy. *(odchodząc z westchnieniem)*. Do widzenia. *(C. d. n.)*

TEATR.

D. 9go b. m. zapowiedziały afisze występ gościnny p. Marjak artystki teatrów warszawskich W trzech sztuczkach różnostronnych miała przedstawić różnorodny charakter. W pierwszej „Żona która oknem wyskoczyła“ w roli p. Schoppe — była zbyt sztywną i monotonną, dla tego nie pozwoliła nam zapomnieć w tejże roli p. German, która z niej wiele zrobić potrafiła. W drugiej „Małe nieprzyjemności“ rolę gapia służącej oddała z prawdą; w sztuce tej p. Delchau zachwycił całą publiczność wybornem odegraniem swej roli. W trzeciej zaś równie jak w przedstawieniu z d. 16go „Kobiety z kamienia“ nadarmo wyczekiwaliśmy talentu, któregoby się po artystce *teatrów* warszawskich spodziewać należało — natomiast gra dawniejszych krakowskiego *jednego* tylko teatru artystów, jak np. panny Safir (grającej dotąd też samą rolę Marco w Kobietach z kamienia), panny Biedrońskiej i Hoffmann, lub artystów (pp. Królikowskiego i Bendy) nic a nic do życzenia nie pozostawiła. Brak się tylko nam czuć dał p Wolskiego w roli Dejeunez w Kobietach z kamienia, którego p. Karsznicki ani w lekkości ruchów, ani w płynnej sarkastyczności mowy zastąpić nie zdołał. *

Korespondencya od Redakcyi.

WPanu D. L. w Krakowie. Miłą nam wielce jest rzeczą odbierać podobnej treści listy, co pański. Przekonywujemy się bowiem z niego, iż usiłowanie i dążność nasza, zasłużyły sobie na uznanie. Serdecznie też dziękujemy za słowa otuchy prawdziwie z serca pochodzące. Mylne zaś przekonanie pańskie, jakobyśmy mieli *zamiar z końcem czerwca zwinąć* nasze pismo, sprostować musimy, i donieść szan. panu, że chociaż dalszy byt „Niewiasty“ zawisł od powiększenia się liczby prenumeratorów, nie lękamy się tak dalece naszej przyszłości, iżbyśmy mieli tracić nadzieję w życzliwe poparcie naszego pisma ze strony przychylnych nam dotąd Rodaczek.

Co do nowego pisma w W . . ., musim odpowiedzieć *„taka ich wola“* — jeżeli im Bóg poszczęści, niechaj działają najskuteczniej razem z nami, a spodziewamy się, iż owoce pracy *naszej*, z owocami *ich* usiłowań, do spólnego prowadzić będą celu. Więc szczęść im Boże!

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother**.